

Leszek Pietrzak

Ujawniamy dziś w „Polsce” nieznane dotąd fakty z prac komisji weryfikacyjnej byłej WSI. Tylko u nas tajemnice i szokujące fakty o grupie, która przez wiele lat stała w cieniu władz III Rzeczypospolitej

Arystokracja WSI

Był ciężki pochmurny dzień. Taki sam jak ten, o którym Sergiusz Piasecki napisał przed laty, że był taki „jak sumienie faszyści, jak zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra...”. Przed oblicze komisji weryfikacyjnej przy ul. Koszykowej 82 przybył pułkownik P. – pragnący weryfikacji jak spragniony wędrowiec wody na pustyni. Już od pierwszej chwili dało się zauważyć u niego coś niezwykłego, coś, co było znacznie silniejsze od zwyczajnej tęsknoty za sfinalizowaniem procesu własnej weryfikacji. Można było odnieść wrażenie, że pewność siebie, z jaką przybył ów oficer, każe mu niechybnie samemu przystąpić do weryfikacji czteroosobowego zespołu roboczego samej komisji weryfikacyjnej. Owa pewność siebie wyrażała się bowiem w jego mowie, gestach, a nawet w wyglądzie zewnętrznym. Szczególną uwagę przyciągał noszony przez oficera sygnet z godłem WSI. Był nie mniejszy niż sygnety rodowe królów i książąt polskich. Błyskotliwość owego sygnetu mogła świadczyć, że był zapewne wykonany z najsłabszego kruszcu. Co ważniejsze jednak dla komisji weryfikacyjnej, był to pierwszy zewnętrzny znak, że w istocie ma do czynienia z najczystszą arystokracją WSI.

Musiło minąć kilkadziesiąt minut, nim weryfikatorzy uporali się z niezbędnymi formalnościami i zasiedli do wysłuchania „officera arystokraty”. Pytali szczegółowo o przebieg jego służby – tak jak wymagała tego od nich procedura. W końcu jednak odpowiedzi oficera przerodziły się w monolog pełen emocji. Rozzuchwalony „oficer ary-

stokrata” kwestionował wszystko.

Od przepisów, którymi kierowała się komisja, po zasadność zasiadania w niej poszczególnych jej członków oraz ich ustawowe kompetencje. Gdy rzecz dotarła do kwestii związanych z działaniami sprzecznymi z prawem lub łamiącymi prawo w toku jego służby, „oficer arystokrata”, wyraźnie poirytowany, gromkim głosem wyraził swoje stanowcze oburzenie z powodu poruszanych kwestii. Gwałtowność tego oburzenia kazała postawić zasadnicze pytanie: a cóż to jest prawo? Jakis wewnętrzny głos, niczym głos Króla Słońce, mówił, że w istocie prawo w tym kraju to my – oficerowie WSI. Wnet

na stół komisji posypały się rzucone przez „officera arystokratę” sterty różnorodnych dyplomów, zaświadczeń, okolicznościowych podziękowań, różnych wersji własnego życiorysu i pism do różnych wysokich urzędów apelujących o powagę i rozsądek w sprawach WSI. Wszystko to było komentowane przez posiadacza

tych papierów superlatywami na temat własnej osoby. Niewątpliwie czuło się wyjątkowość rozmówcy. Gawęda „officera arystokraty” WSI trwała jeszcze długo. Znacznie dłużej, niż miało to miejsce wówczas, gdy komisja weryfikacyjna spotykała się z „prostym ludem WSI”, przerażonym niczym średniowieczni katarzy na widok legata papieskiego.

Po ponaddwugodzinym spotkaniu komisji z „officerem arystokratą” można było odnieść wrażenie, że w istocie członkowie komisji to ciemni chłopcy pańszczyźniani, którzy przez przypadek zatrzymali miejscowego dziedzica, i tylko przez wrodozoną głupotę. Jednak to spotkanie było dla czterech członków komisji weryfikacyjnej mistycznym doświadczeniem pozwalającym zbliżyć się chociaż na chwilę do tajemniczego świata arystokracji WSI. Świata niedostępnego dla przeciętnego śmiertelnika w III Rzeczypospolitej. Tym bardziej więc fascynującego. Zajrzyjmy doń choć ukradkiem.

Większość „officerów arystokratów” WSI urodziła się w przysiółkowej Komborni, skąd wyruszyła w świat, podobnie jak profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław Pigoń. Ich rodzicami zazwyczaj byli w prostej linii potomkowie Boryny, kierujący się twardą pragmatyką w codziennym życiu. „Oficerowie arystokraty” nie wyrastali zatem wśród książek. Nie mieli nawet najmniejszej szansy na pobieranie prywatnych lekcji i – cóż tu mówić – także na rozkosze tego świata. Jednak ich rodziciele wpoili im jedną kardynalną prawdę – że muszą oderwać się od swojego miejsca urodzenia, i to za wszelką cenę. Ta zakorzeniona im w dzieciństwie prawda stała się ogromną siłą napędową w życiu,

zwłaszcza wtedy, gdy stanęli w obliczu poważnych życiowych wyborów. Jednak owo doświadczenie ubóstwa w dzieciństwie i młodości będzie na tyle silne, że w dalszym życiu nie pozwoli im uwolnić całkowicie ich świadomości, a także wykształcić w nich zapobiegliwość w stopniu

niespotykanym u wielu ich rówieśników, każąc wykorzystywać każdą szansę na zdobycie „tytułów i bogactwa”, jaką przyniesie im życie, nawet nie licząc się z innymi.

„Oficerowie arystokraty” WSI jako drogę życiową wybrali mundur, który podobnie jak sutanna wiejskiego proboszcza w kręgu kulturowym, w jakim się urodzili, był dowodem nobilitacji społecznej. Po ukończeniu szkoły podstawowej kontynuowali naukę w szkołach zawodowych, by w wieku 19 lat ochotczo podjąć zasadniczą służbę w Ludowym Wojsku Polskim. Robili wtedy wszystko, aby w oczach przełożonych wyróżnić się swoim ideologicznym zaangażowaniem. Pomimo katolickiej tradycji, w której wyrosli, bez zahamowań deklarowali swój materialistyczny światopogląd i nawoływali swoich kolegów do poparcia jedynie słusznej drogi swojej socjalistycznej ojczyzny, której wiernie chcieli służyć. Wszak po to, aby od przełożonych uzyskać dobrą ocenę polityczną. Był to dla nich cenny kapitał polityczny, którym przykrywali swoje braki w dotychczasowej edukacji. Była ona raczej czołganiem się przez gęstwinę i nie wróżyła lepszego życia, o jakim mówiono im w domu. Gdy wreszcie decydowali się zostać w wojsku, byli cenionymi kapralami, zwłaszcza w pracy ideowo-politycznej z tzw. młodym wojskiem. Zdobywali wieczorowe matury wojskowe, by dostać się do szkoły oficerskiej i uwieńczyć

swoją edukację tytułem inżyniera podporucznika. Później zazwyczaj odbywali kurs oficerski w ramach wojskowej służby zagranicznej bądź różnej mutacji kursy operacyjne. Równolegle uzupełniali cywilne wykształcenie, studiując zaocznie – zazwyczaj pedagogikę. Jednak tylko wybrańcy spośród nich, o odpowiednich resortowych koneksjach, mogli liczyć na tak zwaną kierunkową edukację w ZSRR – trwającą zazwyczaj od kilku do kilkunastu miesięcy. By wyjechać do tego robotniczego raju, musieli zyskać zaufanie ideologiczne swojego dowództwa. I w takich chwilach ich dotychczasowe polityczne zaangażowanie okazywało się na wagę złota. Zapewne jednak w najpiękniejszych snach nie marzyli, że nauka w ZSRR okaże się tak korzystnym okresem w ich życiu. Nigdy nie zaniedbywali nauki języków obcych, szczególnie rosyjskiego. Do WSI przybyli w II połowie lat 70. Po ukończeniu kursów operacyjnych rozpoczęli praktykę w jednostkach

podległych Zarządowi II Sztabu Generalnego lub w kontrwywiadzie WSW.

Jednak kariera w wojskowych służbach zaczęła nabierać rumieńców, gdy w latach 1982–1990 zostali wytypowani na kursy operacyjne w ZSRR. Kurs w Akademii Dyplomatycznej w Moskwie, kurs operacyjny organizowany przez GRU w ZSRR były w ówczesnym kręgu polskich służb wojskowych czymś w rodzaju paryskiej Ecole Supérieure de Guerre w przedwojennym świecie sztabowym. Krótko mówiąc, radzieckie kursy były dla polskich absolwentów gwarancją, że wylądują na ważnej placówce zagranicznej bądź obejmą w przyszłości lukratywne funkcje dowódcze w polskich służbach. I może im w tym przeszkodzić tylko jakieś złe zrządzenie losu. Po powrocie z radzieckich szkoleń w ciągu dwóch lat udało im się zaliczyć staż w jednym z attachatów w krajach NATO bądź innych liczących się w relacjach pomiędzy światem socjalistycznym a kapitalistycznym. Tam zdobywali pierwsze szlify w pracy wywiadowczej, zbierając informacje o „wrogich” armiach NATO. Tam również zaczęli utrzymywać i nawiązywać nowe przyjaźnie z radzieckimi towarzyszami. Po powrocie do kraju obejmowali funkcje kierownicze w strukturach Zarządu II i kontrwywiadu WSW, znacznie wyprzedzając swoich kolegów, z którymi rozpoczynali karierę w służbach wojskowych.

W 1989 r. sytuacja w PRL zaczęła się radykalnie zmieniać, ale w wojsku absolwenci radzieckich uczelni przejmowali władzę na wszelkich szczeblach nowych służb. De facto dopiero wówczas stali się prawdziwą arystokracją nowych służb. Arystokracją, która panuje, rządzi i wychowuje „prosty lud WSI”. Arystokratą zostawało się wskutek akceptacji reszty

arystokracji. Warunkiem była zgoda na przestrzeganie reguł. Według nich WSI to swoiste bractwo posiadające wiedzę tajemną, do której ogół nie ma dostępu. Wiązał się z tym faktem wymóg lojalności i wspierania się nawzajem. „Oficerów arystokratów” łączył także pewien rodzaj spiskowego widzenia świata, którym w ich przekonaniu daje się manipulować, pozostając niezauważonym w ukryciu. Dzień „arystokraty WSI” w centrali firmy w Warszawie zaczynał się od służbowych narad najpierw w gronie samych arystokratów. Pierwszym tematem codziennych debat była bieżąca sytuacja społeczno-polityczna w kontekście wynikających z niej zagrożeń dla służby. Innym – sprawy związane z potencjalnymi kierunkami zainteresowań firmy. Jednak te poranne debaty arystokracji były kluczowymi sprawami w ciągu całego dnia. Mnóstwo czasu zajmowała „arystokracji” analiza bieżących informacji, jakie pozyskiwała WSI. „Arystokracja” nie zaniedbywała pracy oświatowo-wychowawczej z niższymi klasami społecznymi WSI.

Była to typowa robota w nadbudowie. Nie unikał jej nawet sam szef arystokracji, generał Marek. To on, jeszcze jesienią 2005 r., wizytując poszczególne komórki w centrali, wygłaszał pogadanki dla „prostego ludu WSI”, mające ukształtować właściwy stosunek do obrzydliwej propagandy prasowej szkalującej dobre imię WSI.

Zasadniczym jednak celem ciężkiej pracy „arystokracji WSI” był zgodny z prawami ekonomii pieniądza. Dlatego tak niezmiernie ważne w WSI było planowanie takich ope-

racji, które mogły dostarczyć firmie pozabudżetowych funduszy na rzecz – jak to ujmowano – „zabezpieczenia interesów obronnych”, ale ma się rozumieć nie państwa, tylko „arystokracji”. Pozyskiwanie funduszy miało miejsce w różnego rodzaju sektorach. Jak świat światem zawsze bowiem handlowano orężem. Transakcje zbrojeniowe, czyli tzw. obrotu specjalnego, były jednym z najbardziej intratnych przedsięwzięć handlowych, zwłaszcza gdy były to transakcje do krajów objętych różnego rodzaju międzynarodowymi zakazami sprzedaży takich artykułów. Wtedy odbiorca takiej broni płacił znacznie więcej za towar niż normalnie. Zatem transakcje zbrojeniowe autorstwa arystokratów z WSI to duża kasa i duże emocje. Jeden z bohaterów tej branży, niejaki Wolfgang Frenkel, pracujący całe lata dla „arystokracji WSI”, powiedział

kiedyś, że „prawdziwe emocje rosty powyżej miliona dolarów”. „Oficerowie arystokracji” kochali pieniądze, a najbardziej duże pieniądze. Ich bliskość nierzadko działała jak narkotyk. Jeden z „arystokratów” – niejaki pułkownik T. – bohater „wojny alkoholowej” w Polsce (miała miejsce w połowie lat 90.), będąc u jednego z inwestorów branży alkoholowej i czując wokół duże pieniądze, był – jak to ujęto w dokumencie służbowym – „wyraźnie oszołomiony”. Jednak życie codzienne „arystokracji WSI” nie było wypełnione jedynie żmudną pracą operacyjną. Dbano o właściwe zorganizowanie różnych uroczystości. W budżecie zawsze zabezpieczano niezbędne fundusze na ten cel. Nie były to jednak uroczystości państwowe. Obchodzono hucznie wszystkie rocznice związane z pełnieniem służby, imieniny, urodziny, organizowano pożegnania „arystokratów” odchodzących ze służby, wyjeżdżających na placówki zagraniczne lub ważne misje i powracających z nich. Wszystko oczywiście musiało mieć odpowiednią oprawę, łącznie z firmowymi zaproszeniami. Wręczano okolicznościowe prezenty, egzemplarze broni oraz sygnety z godłem WSI, mające dowodzić przynależności do arystokratycznego rodu. Nigdy w trakcie tych uroczystości nie zabrakło poczęstunku i odpowiedniej ilości alkoholu.

Zresztą alkohol był czymś ważnym w życiu codziennym „arystokracji WSI”. Był on obecny od samego rana do późnych godzin wieczornych w różnych formach i w różnych postaci. Piła nie tylko „arystokra-

cja”, ale piły wszystkie „stany” w WSI. Pito w centrali i w terenie, pito na placówkach zagranicznych i na misjach zagranicznych. Pito dla integracji, ze strachu i dla otuchy. Ale nie tylko dlatego. Picie, tak ja stosunek z kobietą w przedrewolucyjnych Chinach, było dla „arystokratów WSI” ulubioną formą spędzania wolnego czasu. Jednak zdecydowanie więcej pito poza krajem. Nostalgia „arystokracji WSI” na obczyźnie wymagała ukojenia i znacznej ilości alkoholu. Historia kariery pułkownika K. – „arystokraty” na placówce w koreańskim kraju – obrazuje to najlepiej. Pił on z dużym rozmachem czasowym i dużą ilością gotówki, doprowadzając się do stanów absolutnej nirwany na wiele godzin. Przeszedł do historii jako człowiek w niekoniecznie czystych inekspymablach, którym uwagę poświęcił nawet sam prezydent A. Kwaśniewski. Obecność kobiet w życiu „arystokracji” nie miała wymiaru mistycznego. Dominowało służbowo-użytkowe podejście do kobiety. „Arystokracja” skrupulatnie dobierała personel żeński w WSI. Personel ten musiał mieć świadomości gotowości do poświęceń na rzecz „arystokracji”, w zależności od potrzeby chwili. W wielu jednak wypadkach relacje „arystokratów WSI” z personelem żeńskim niejednokrotnie przypominały zamierzchłe czasy szlacheckie. Niektórzy z „arystokratów WSI” poruszali się bowiem wśród podległego żeńskiego personelu niczym dziedzic po opłotkach swojego majątku. W końcu co pańskie, należy do pana. W sytuacjach szcze-

gólnych „arystokratów” interesowały wszystkie kobiety, które – używając języka biblijnego – były w pobliżu. Pewnego razu płk W., szef jednego z oddziałów kontrwywiadu WSI na południu Polski, wieziony samochodem przez swojego podwładnego, usiłował pościć jego znajdującą się również w samochodzie małżonkę, gdy auto utknęło właśnie w korku. Zaistniała sytuacja wytworzyła skomplikowany problem lojalności.

Niegodziwość autora artykułu **Leszka Pietrzaka**, członka Komisji Weryfikacyjnej, polega na tym, że zamiast profesjonalnie zająć się weryfikacją oświadczeń żołnierzy i pracowników WSI, to wykorzystywał uzyskaną wiedzę i zmanipulowaną przekazywał przez przychylne PiS media, społeczeństwu, które nie miało najmniejszych szans, aby zweryfikować ich prawdziwość. Jak na historyka, takie postępowanie jest wysoce naganne i przypomina najgorsze praktyki propagandzistów PRL.

Historyk z wykształcenia, dr Leszek Pietrzak, zastosował prymitywny ale skuteczny chwyt propagandowy: przedstawił weryfikację anonimowego oficera, jako godnego pogardy „arystokratę WSI”, a następnie zasugerował, że w większości oficerowie WSI to tacy „arystokraci” – z nizin społecznych, miernoty intelektualne i biedacy, niewykształceni karierowicze, gotowi za każdy awans zaprzedać się każdemu, lenie i cwaniacy, małwersanci finansowi, pijacy oraz molestujący pracownice. Nie zaprzeczamy, że w historii wojskowych służb kontrwywiadu i wywiadu zdarzali się i tacy – również szpiegzy innych służb.

Pojawia się jednak pytanie, dlaczego to właśnie „pułkownik P.” został bohaterem artykułu pana doktora i czym sobie na to zasłużył?

Oficer pochodzący z rodziny z tradycjami wojskowymi, dziad i ojciec - żołnierze i sybiracy, on – absolwent ogólniaka, a następnie absolwent wydziału cybernetyki Wojskowej Akademii Technicznej, skierowany do służby w komórce kryptoanalizy ZII SG WP, również szef komórki w Kwaterze Głównej UNDOF ONZ w Syrii; w III RP: szef oddziału Informatyki WSI, trzy lata był zastępcą attache obrony w USA, trzy lata był szefem komórki w strukturach NATO, dwukrotnie dyrektorem specjalistycznego ćwiczenia NATO, w 1999 r. odznaczony amerykańskim medalem a w 2003 r. Krzyżem Kawalerskim OOP ..., co prawda ukończył kurs GRU, ale i kursy wojskowe w USA i NATO. Oficer i autor artykułu, spotkali się jeden jedyny raz w życiu – w czasie weryfikacji, której poddał się oficer. A może stanął „kością w gardle” Komisji Weryfikacyjnej, znał procedury weryfikacji, nie chciał dostarczać haków na kolegów, a do tego położył na stole dowody głupoty i arogancji nowego kierownictwa WSI z nadania polityków PiS. I jak taki butny oficer i to jeszcze profesjonalista z trzydziestoletnim doświadczeniem w ZII SG WP i WSI, a do tego szkolony przez GRU, może otrzymać pozytywny wynik weryfikacji – przecież to z założenia nie jest możliwe, przecież to ewidentny przestępca i rosyjski szpieg.

Cóż, z wiarą i przekonaniem trudno jest dyskutować, jeśli brak merytorycznych argumentów. Przecież nawet amerykańskie i natowskie służby specjalne można oszukać, jedynie Komisji Weryfikacyjnej pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza – **nigdy**.

Niestety w nurt manipulowania społeczeństwem oraz tolerowania braku profesjonalizmu i arogancji Komisji Weryfikacyjnej wpisywały się również poważne tytuły polskiej prasy, w tym gazeta „Polska The Times”. Jej kierownictwo mogło przeciwdziałać takim zachowaniom członków Komisji Weryfikacyjnej, ale zamiotło problem pod dywan i udawało, że nic się nie stało, zaś redaktor naczelny wielokrotnie w programach publicystycznych mówił o ważnej roli IV Władzy w demokratycznym państwie – zapomniał jednak, że ma to być rola **odpowiedzialna**.

Warszawa, dnia 21 grudnia 2009 r.

„pułkownik P.”
opisany przez członka
Komisji Weryfikacyjnej
Leszka Pietrzaka
w artykule „Arystokracja WSI”

Redaktor Naczelny „POLSKA”
Pan Paweł FAŁARA
ul. Domaniewska 41
02-696 Warszawa

/Do rąk własnych/

Szanowny Panie Redaktorze,

W dniu 25 sierpnia oraz 30 października 2008 r. przesłałem Panu dwa pisma wraz z kopią artykułu „Arystokracja WSI” opublikowanego w Pańskiej Gazecie i CD z informacjami dotyczącymi sposobu przeprowadzania mojej weryfikacji oraz materiały z NPW, aby uzmysłwić Panu, na czym polegały profesjonalizm i przyzwoitość Komisji Weryfikacyjnej, w tym jednego z jej członków – pana dr. Leszka Pietrzaka, autora artykułu.

Od ponad roku oczekuję jakiegokolwiek Pana reakcji na moje pisma – np. słowa „Przepraszam”, co w cywilizowanym świecie i wśród kulturalnych ludzi nie wydaje się być zbyt wygórowaną ceną za opublikowanie, tak nierzetelnych „faktów z prac komisji weryfikacyjnej byłej WSI”, z moją osobą w roli „bohatera”.

Czując się zobowiązany informować Pana o rozwoju wydarzeń, w tak ciekawym i godnym prezentacji na łamach Pańskiej Gazety temacie, jakim jest weryfikacja „pułkownika P.”, przesyłam Panu w prezencie pod choinkę kolejną porcję materiałów.

Jednocześnie życzę Panu oraz całej Redakcji zdrowych, spokojnych i miłych Świąt Bożego Narodzenia oraz wszystkiego najlepszego w Nowym 2010 Roku, w tym rzetelności informacyjnej, której w demokratycznym państwie czytelnicy mają prawo oczekiwać od IV Władzy.

Z pozdrowieniami,

Podpis